

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

STAMBUŁ I PERA

Gérard de Nerval
(właśc. Gérard Labrunie)

BAŁYK BAZAR

Dziwne miasto, ten Konstantynopol! Przepych i nędza, łzy i radość, despotyzm większy niż gdziekolwiek, a zarazem więcej niż gdziekolwiek swobody; cztery odrębne narody żyją pospołu nie żywiąc do siebie zbyt wielkiej nienawiści: Turcy, Ormianie, Grecy i Żydzi; urodzeni na tej samej ziemi, znoszą się nawzajem znacznie lepiej niż we Francji ludzie pochodzący z różnych prowincji lub należący do różnych stronnictw.

Czy było mi sędzone być świadkiem ostatniego odruchu fanatyzmu i barbarzyństwa, który został popełniony na mocy dawnych tradycji muzułmańskich? Odnalazłem w Perze jednego z najstarszych moich przyjaciół, malarza Francuza, który mieszkał tam od trzech lat, prowadząc dom na szeroka stopę z dochodów osiągniętych za portrety i obrazy, co dowodzi, że Konstantynopol nie żyje w takiej niezgodzie z Muzami, jakby się zdawało. Wyruszyliśmy z Pera — miasta europejskiego, by się udać do Stambułu — miasta tureckiego.

Minąwszy bramę obronną Galaty, trzeba przebrnąć jeszcze przez długą, krętą ulicę, wzdłuż której ciągną się szynki, sklepy cukierników, fryzjerów i rzeźników oraz kawiarnie europejskie; stoliki tychże zarzucone są gazetami greckimi i ormiańskimi; ukazuje się ich pięć czy sześć w samym tylko Konstantynopolu, nie licząc dzienników greckich przywożonych z Morei. Podróżny ma sposobność sprawdzenia swojej erudycji w dziedzinie języków klasycznych, chcąc zrozumieć choć kilka słów owego żywego języka, który się z dnia na dzień odradza. Większość dzienników usiłuje oddalić się jak najbardziej od nowoczesnej gwary zbliżając się do dawnej greki aż do stopnia, po przekroczeniu którego groziłoby im, że nie zostaną zrozumiani. Można tam znaleźć gazety wołoskie i serbskie, a także drukowane w języku rumuńskim, łatwiejszym do zrozumienia dla nas od greki, dzięki znacznej przymieszce słów łacińskich. Wstąpiliśmy na chwilę do jednej z tych kawiarni, by napić się słodzonego *gloria*; jest *to* trunk nie znany tureckim kawiarzom. Dalej widzimy targ na owoce, są tam wspaniałe okazy dowodzące żyzności gruntów otaczających Konstantynopol. Wreszcie schodząc wciąż w dół krętymi uliczkami, wśród tłumu przechodniów, trafiamy na przystań, gdzie należy się przeprawić przez Złoty Róg, zatokę szeroką na ćwierć mili, a około jednej mili długą — najpiękniejszy i najbezpieczniejszy port na świecie — dzielący Stambuł od przedmieść Pera i Galata.

Niewielką tę przestrzeń ożywia niezwykle ruch; posiada ona pomost z desek, wzdłuż którego stoją wytworne kaiki. Wioślarze ubrani są w koszule z jedwabnej krepy, o długich rękawach, wielce wymyślnego kroju; łodzie ich mkną szybko dzięki kształtom podobnym do kształtu ryby i przesuwają się bez trudu pośród setek statków wszelkich narodowości, stłoczonych przy wjeździe do portu.

W dziesięć minut później przybijamy do przystani na przeciwległym brzegu, i wchodzimy po stromych schodkach skąd wiedzie droga na Bałyk Bazar, targ na ryby; byliśmy tam świadkami niezwyklej sceny. W jednym z wąskich zaułków bazaru stała kręgiem spora gromada mężczyzn. Sądziłem zrazu, że zobaczymy bójkę kuglarzy albo taniec niedźwiedzia. Precisnąwszy się jednak przez tłum, ujrzeliśmy leżący na ziemi kadłub ludzki, odziany w granatowe spodnie i marynarkę; obcięta głowa, nakryta czapką, umieszczona była pomiędzy lekko rozstawionymi nogami. Turek odwrócił się do nas i powiedział poznając, że ma przed sobą Europejczyków:

— Podobno obcinają także głowy tym, co chodzą w kapeluszach.

Turek żywi zabobonną niechęć zarówno do czapki, jak do kapelusza, muzułmanom bowiem nie wolno nosić nakrycia głowy z daszkiem, ponieważ modląc się muszą bić czołem o ziemię, nie odkrywając przy tym głowy. Oddaliliśmy się czym prędzej nie mogąc patrzeć na tę wstrętną scenę i

skierowaliśmy się w stronę bazaru. Ormianin zaprosił nas do swego sklepu, częstując sorbetami, i opowiedział nam historię tej dziwnej egzekucji.

Kadłub z obciętą głową wystawiony był od trzech dni na widok publiczny w Bałyk Bazarze, co było wielce niemiłe kupcom rybnym. Był to trup Ormianina, nazwiskiem Owagim, którego schwytano przed trzema laty *in flagranti* z Turczynką. W takim wypadku należy wybrać śmierć lub apostazję: Turkowi groziła za to jedynie porcja kijów. Owagim przyjął wiarę muzułmańską. Z czasem poczuł wyrzuty sumienia, że tak stchórzył; osiadł na wyspach greckich i wyrzekł się nowej wiary.

Po trzech latach, sądząc, że jego sprawa poszła w zapomnienie, wrócił do Konstantynopola w ubraniu Europejczyka. Fanatycy zadenuncjowali go i władze tureckie, choć wówczas bardzo tolerancyjne, były zmuszone wykonać wyrok. Konsulowie europejscy interweniowali w sprawie Ormianina, lecz okazali się bezsilni wobec wyraźnej litery prawa. Na Wschodzie prawo jest równocześnie świeckie i religijne; Koran i kodeks stanowią jedno. Sądy tureckie muszą liczyć się z zażartym jeszcze fanatyzmem gminu. Zaproponowano Ormianinowi, że zwrócą mu wolność, jeśli dokona ponownej apostazji. Odmówił. Posunięto się jeszcze dalej: dano mu sposobność ucieczki. Rzecz dziwna, odmówił i tego, twierdząc, że może żyć tylko w Konstantynopolu, że umarłby z tęsknoty, gdyby go znowu musiał opuścić, a ze wstydu, gdyby pozostał tu za cenę ponownej apostazji. Wówczas wykonano egzekucję. Wielu jego współwyznawców uważa go za świętego i wypaliło niejedną świecę na jego cześć.

Ta historia bardzo nas żywo obeszła. Zły los wytworzył taki splot okoliczności, że nic nie mogło już nadać jej innego biegu. Wieczorem, trzeciego dnia po wystawieniu zwłok na Bałyk Bazarze, trzech Żydów, jak nakazywał obyczaj, załadowało je sobie na ramiona i cisnęło do Bosforu, pomiędzy utopione psy i konie, które morze tu i ówdzie wyrzuca na brzeg.

Nie chcę pod wpływem smutnego epizodu, którego na moje nieszczęście byłem świadkiem, wątpić w ducha postępu, jaki ożywia nową Turcję. Podobnie jak w Anglii, prawo pęta wolę i umysły wszystkich, czyniąc je niezdolnymi do słusniejszego stosowania jego paragrafów. Zdrada małżeńska i apostazja są to dziś dwa jedyne wypadki, w których tak smutne przykłady bywają możliwe.

Przemierzyliśmy wspaniałe bazyry tworzące samo serce Stambułu. Jest to solidnie zbudowany kamienny labirynt, utrzymany w guście bizantyjskim, dający obszerne schronienie przed upalnym dniem. Olbrzymie galerie, jedne sklepione okrągło, inne znów zbudowane w kształcie ostrołuków, z rzeźbionymi słupami i kolumnadami, każda z nich poświęcona jest odmiennemu gatunkowi towarów. Niezmierny podziw budzą szaty i babusze kobiece, materie haftowane, lamy, kaszmiry, dywany, meble inkrustowane złotem, srebrem i masą perłową, wyroby złotnicze, a jeszcze większy — wspaniała broń zgromadzona w części bazaru, zwanej bezestan.

Jeden z wylotów tego miasta, które można by nazwać podziemnym, wiedzie nas na plac nader wesoły, otoczony gmachami i meczetami, zwany placem Serasker. Jest to najbardziej przez dzieci i kobiety uczęszczane miejsce spacerów w śródmieściu. W Stambule kobiety są szczerzej zakwefione niż w Perze, odziane w zielone lub fiołkowe *firendzi*; twarz kryje gęsta gaza, rzadko można dostrzec coś więcej niż oczy i nasadę nosa. Ormianki i Greczynki osłaniają się znacznie bardziej przezroczystą tkaniną.

Całą jedną stronę placu zajmują pisarze, miniaturzyści i księgarze; wdzięczna konstrukcja sąsiednich meczetów o dziedzińcach zasadzonych drzewami, nawiedzanych przez tysiące gołębi, które spadają niekiedy na plac niby chmura, kawiarnie i wystawy pełne biżuterii, wieża przy meczecie Serasker górująca nad miastem, a dalej ciemne mury Starego Seraju, siedziby matki sułtana — nadają temu miejscu cechę wielkiej oryginalności.

SULTAN

Powracając w stronę portu, zobaczyłem sułtana, jak przejeżdżał w nader osobliwym kabriolecie; para koni zaprzęzonych w szydło ciągnęła pojazd na dwóch kołach, którego szeroką budę, górą czworokątną jak baldachim, osłaniała z przodu na pół zasunięta aksamitna zasłona, obszyta torsadką ze złotego szychu. Ubrany był w zwykły surdut zapięty wysoko pod szyję, jaki widzujemy na Turkach od czasu wprowadzenia reformy bez żadnych odznak władzy prócz cyfry cesarskiej wyhaftowanej brylantami na czerwonym tarbuszu. Bładą, dystygowaną twarz powlekał wyraz melancholii. Ruchem machinalnym zdjąłem kapelusz, aby mu się uklonić; kierowała mną w gruncie rzeczy jedynie grzeczność cudzoziemca, nie zaś obawa, by mnie potraktowano podobnie jak Ormianina z Bałyk Bazaru. Spojrzał na mnie z uwagą, zdradziłem bowiem przez to moją nieznaną obyczajów: nie wita się sułtana ukłonem.

Mój towarzysz, którego straciłem przez chwilę z oczu w tłumie, powiedział mi:

— Idźmy za sułtanem; zmierza do Pery, tak samo jak i my, z tą jedynie różnicą, że przejedzie przez most pontonowy na Złotym Rogu. Dłuższa to droga, ale unika się przeprawy łodzią, a morze dziś jest nieco wzburzone.

Ruszyliśmy więc za kabrioletem, który toczył się powoli, długą, krętą ulicą, biegnącą wzdłuż meczetów i wspaniałych ogrodów; zawiodła nas ona w końcu do dzielnicy Fanar, gdzie mieszkają bogaci kupcy greccy, jak również grecka arystokracja. Niektóre domy w tej dzielnicy to prawdziwe pałace, a kilka kościołów ozdobionych wewnątrz świeżymi malowidłami kryje się w cieniu wysokich meczetów w obrębie Stambułu, miasta specyficznie tureckiego.

Po drodze podzieliłem się z moim przyjacielem wrażeniem, jakie zrobił na mnie niespodziewany wygląd Abd ul-Medzida i przenikająca na wskroś łagodność jego spojrzenia, które zdawało się wyrzucać mi, że mu się ukloniłem jak zwykłemu monarsze. Jego twarz, blada, pociągła, oczy kształtu migdała spoglądające poprzez długie rzęsy z wyrazem zdziwienia złagodzonego życzliwością, niewymuszona poza, smukła postać — wszystko usposobiło mnie jak najprzychylniej.

— Jak on mógł — zapytałem — wydać wyrok śmierci na tego biedaka, którego kadłub ze ściętą głową widzieliśmy na Bałyk Bazarze?

— Nic nie mógł na to poradzić — odrzekł mój towarzysz. — Sułtan ma władzę bardziej ograniczoną niż monarcha konstytucyjny. Musi się liczyć z wpływami niemów: oni to rozstrzygają o wszystkim, co dotyczy zarówno prawa, jak wiary tego kraju; a także z ludem, który protestuje buntami i pożogą. Mógłby niewątpliwie narzucić swoją wolę przy pomocy sił zbrojnych, którymi dysponuje, a które często ciemiężyły jego przodków, lecz któż by go wówczas obronił przed trucizną, bronią tych, co go otaczają, lub przed morderstwem, bronią dostępną każdemu? Co piątek musi on się udać do jednego z meczetów w mieście, gdzie odprawia modły tak, aby wszyscy kolejno mogli go zobaczyć. Dziś jedzie do Pery, gdzie znajduje się klasztor tańczących derwiszów.

Mój przyjaciel udzielił mi jeszcze więcej szczegółów dotyczących sułtana, które wytłumaczyły mi do pewnego stopnia cień melancholii zasnuwającej jego rysy. Jest on może istotnie jedynym Turkiem, który mógłby się skarżyć na nierówności społeczne. Na wskroś demokratyczna myśl przyświecała bowiem muzułmanom, gdy uczynili głową państwa człowieka, który przewyższa wszystkich i jest zarazem bardziej od wszystkich upośledzony.

Jemu jednemu w całym imperium nie wolno jest wstąpić w legamy związek małżeński. Obawiano by się wpływów, które zdobyłyby pewne rodziny dzięki tak wysokim koligacjom; nie mógł również poślubić cudzoziemki. Został więc pozbawiony czterech prawowitych żon, na co zezwolił Mahomet

każdemu ze swoich wiernych, który jest w stanie je wyżywić. Jego sułtani, gdyż nie wolno mu nazywać ich małżonkami, są to zazwyczaj po prostu niewolnice, a że wszystkie kobiety w imperium tureckim, czy to Ormianki, Greczynki, katoliczki czy Żydówki, uważane są za istoty wolne, harem sułtana może rekrutować się jedynie w krajach obcych islamizmowi, których monarchowie nie utrzymują stosunków oficjalnych z władcą Turcji.

W okresie, kiedy Porta wojowała z całą Europą, harem Padyszacha bywał wspaniale zaopatrzony. Nie brak tam było piękności o śnieżnobiałej skórze i jasnych włosach, jak na przykład owa Roksolana, Francuzka o zadartym nosku, która istniała nie tylko na scenie, a której trumnę spowitą w kaszmiry i ocienioną pióropuszem można zobaczyć spoczywającą przy boku małżonka w meczecie Solimana. Dziś nieszczęsny sułtan nie może marzyć o Francuzkach ani o żadnych Europejkach. Gdyby odważył się porwać jedną z gryzetek dzielnicy Pera, obnoszących dumnie ostatnie mody paryskie na niedzielnej promenadzie, ambasadorowie i konsulowie zasypaliby go notami dyplomatycznymi i stałoby się to może przyczyną wojny bardziej długotrwałej niż ta, którą wywołało niegdyś porwanie Heleny.

Gdy sułtan przejeżdża ulicami Pery, a zwarty tłum Greczynek ciśnie się, aby go zobaczyć — musi odwracać oczy unikając wszelkiej pokusy, etykieta bowiem zabrania mu nawiązywania przelotnych miłości, nie miałyby zaś prawa zamknąć w haremie kobiety urodzonej na wolności. Szybko mu się zapewne znudziły Czerkieski, Malajki, Abisynki, które jedynie są odpowiednimi kandydatkami na niewolnice i marzy o jasnowłosych Angielkach i sprytnych Francuzkach, ale są to dla niego zakazane owoce.

Mój towarzysz wymienił mi z kolei liczbę obecnych mieszkanek seraju. Jest znacznie niższa, niż to sobie wyobrażają w Europie. Harem sułtana liczy zaledwie trzydzieści trzy kadyny, czyli damy, z których tylko trzy uchodzą za faworyty. Reszta mieszkanek seraju są to *odalyk*, czyli służebnice. W Europie nadawany jest zatem niewłaściwy sens pojęciu odaliska. Bywają także tancerki i śpiewaczki, które jedynie kaprys pana i władcy mógłby wznieść do godności sułtani, byłoby to wszakże wykroczeniem przeciwko obyczajom. Tak więc sułtan, który z konieczności ma za żony tylko niewolnice, jest sam synem niewolnicy, czego mu zresztą nie omieszkają nigdy wypomnieć Turcy, ilekroć wzbiera gniew ludu.

Rozmawialiśmy dalej na ten temat, powtarzając od czasu do czasu: „biedny sułtan!” Tymczasem przedmiot naszych zainteresowań wysiadł z powozu na nabrzeżu Fanar, ponieważ nie można przejechać na kołach przez most pontonowy przerzucony w jednym z najważniejszych punktów Złotego Rogu. Most wsparty jest na dwóch łukach dość wysokich, by mogły pod nimi przepływać łodzie. Sułtan dosiadł konia i gdy znalazł się na przeciwległym brzegu, skierował się ścieżkami biegnącymi wzdłuż zewnętrznych murów Galaty poprzez Mały Cmentarz, ocieniony olbrzymimi cyprysami, tak dotarł aż na główną ulicę Pery. Derwisze oczekiwali go, ustawieni w rzędy, na dziedzińcu, na który nie mogliśmy się dostać. W tym oto *teke*, czyli klasztorze, znajduje się grób hrabiego de Bonneval, smutnej sławy renegata, który stał przez długi czas na czele armii tureckich i walczył w Niemczech przeciw wojskom chrześcijańskim. Jego żona, Wenecjanka, która podążyła za nim do Konstantynopola, służyła mu za adiutanta na polu bitwy.

Podczas gdy staliśmy wyczekując przed bramą, ujrzeliśmy orszak żałobny, na czele którego kroczyli duchowni greccy, zmierzający w przeciwległy kraniec dzielnicy. Straż sułtańska kazała duchownym się cofnąć, sułtan bowiem mógł wyjść z klasztoru lada moment, nie wypadało zaś, aby się spotkał z pogrzebem. Nastąpiła dłuższa chwila wahania. Wreszcie archimandryta, który, w tiarze podobnej do korony cesarskiej i długich, bizantyjskich szatach, haftowanych świecidełkami, zdawał się dumny niczym Karol Wielki, począł żywo coś tłumaczyć dowódcy straży; po czym, zwracając się

do duchownych z miną oburzoną, dał im znak ręką, że mają maszerować dalej i że gdyby sułtan w tej chwili opuścił klasztor, on to musiałby poczekać, aż go minie zmarły.

Cytuję ten fakt jako przykład tolerancji, jaka istnieje w Konstantynopolu dla odmiennych wyznań.

WIELKI CMENTARZ

Czuję pewne zakłopotanie, że tak często mówię o pogrzebach i cmentarzach, wspominając to wspaniałe i radosne miasto — Konstantynopol, linie bowiem jego horyzontu, pełne ruchu i zieleni, jego malowane domy i wytworne meczety o cynowych kopułach i smukłych minaretach, winny nawodzić jedynie myśli o życiowych uciechach i słodkie marzenia.

Ale bo też w tym kraju śmierć przybiera pozory święta. Orszak grecki, o którym mówiłem przed chwilą, nie miał w sobie nic z żałobnej pompy towarzyszącej naszym smutnym pogrzebom. Popi o rumianych twarzach i szatach jarzących się od haftów, za nimi młodzi duchowni w długich, różnobarwnych sukniach, dalej przyjaciele odziani w najbogatsze stroje, a pośród nich nieboszczka, młoda jeszcze, woskowo blada, ale z uróżowanymi policzkami, spoczywa na posłaniu z kwiatów, w wieńcu róż na głowie, ubrana w najpiękniejsze aksamity i atłasy, obsypana diamentami — te klejnoty nie będą jej z pewnością towarzyszyły aż do grobu — taki to obraz, raczej napełniający melancholią niż rozpaczą, przedstawiał ów orszak.

Widok z klasztoru tańczących derwiszów rozciąga się na Mały Cmentarz, którego tajemnicze aleje wysadzone olbrzymimi cyprysami schodzą aż do morza, sięgając zabudowań marynarki w porcie. Naprzeciwko *teke* mieści się kawiarnia, stoją rzędem stoliki i taborety, goście piją kawę, paląc nargile albo fajki; zasiadają tam chętnie derwisze, ludzie z natury dość weseli i rozmowni. Można stamtąd obserwować do woli mijających kawiarnię Europejczyków. Przejeżdżają również tą ulicą ekwipaże bogatych Anglików i ambasadorów, a także złocone powozy Turczynek bądź ich *araba*, podobne raczej do wózków praczek, gdyby nie malowane i złocone ozdoby. *Araba* bywają zaprzężone w woły. Mają one tę zaletę, że może się w nich pomieścić cały harem wyjeżdżający na majówkę. Mąż nie towarzyszy nigdy żonom na takich spacerach, które odbywają się zazwyczaj w piątki, jako że dzień ten jest dla Turków niedzielą.

Tłum był tak ożywiony i strojny, że można było od razu pomiarkować, iż wybiera się na jakąś zabawę odbywającą się prawdopodobnie za miastem. Mój towarzysz mnie opuścił, otrzymał zaproszenie na obiad do Ormian, którzy zamówili u niego obraz, ale był tak uprzejmy, że wskazał mi restaurację wiedeńską położoną na górze Pery. Zaraz za klasztorem derwiszów i pasem zieleni ciągnącym się po przeciwległej stromej ulicy znajdujemy się nagle jakby w jednej z dzielnic Paryża. Wspaniałe sklepy modystek, jubilerów, cukierników, bieliźniarek, angielskie i francuskie hotele, czytelnie i kawiarnie, oto co oglądamy na przestrzeni ćwierć mili. Większość konsulatów ma tu również swoje siedziby, których fasady wychodzą na ulicę. Wyróżnia się zwłaszcza olbrzymi pałac, całkowicie zbudowany z kamienia, w którym mieści się ambasada rosyjska. Byłaby to w razie czego groźna forteca górująca nad trzema dzielnicami: Perą, Tofaną i Galatą. Ambasada francuska położona jest mniej szczęśliwie, przy ulicy schodzącej ku Tofanie; pałac ów, który kosztował już kilka milionów, nie jest jeszcze skończony.

Idąc ulicą przekonamy się, że dalej rozszerza się ona i widzimy na lewo teatr włoski czynny tylko dwa razy na tydzień. Dalej ciągną się piękne domy mieszczańskie wychodzące na ogrody, a potem na prawo wznoszą się budowle uniwersytetu tureckiego i szkół wyższych, jeszcze dalej zaś, na lewo — szpital francuski.

W tym miejscu kończy się dzielnica europejska, droga rozszerza się, poczynają zalegać ją sprzedawcy smażeniny, owoców, arbuźów i ryb; wianiarnie panoszą się tu z większą swobodą niż w mieście. Są one na ogół olbrzymich rozmiarów. Jest to najpierw sala obszerna niczym widowia teatru, otoczona wysoką galerią o balustradzie z toczonego drzewa. Z jednej strony mieści się lada,

gdzie nalewają wina białe i czerwone w szklane kufle, które każdy z klientów zanosi do wybranego przez siebie stolika, z drugiej strony olbrzymi piec kuchenny zastawiony potrawami; te nakładane są również na talerze i klienci sami je zabierają. Trzeba się przyzwyczaić do jadań na takim stoliczku nie sięgającym nawet kolan. Tłum, który tłoczy się w tego rodzaju przybytkach, składa się wyłącznie z Greków (tych można poznać po tarbuszach mniejszych niż tureckie), z Żydów w małych turbanach, okręconych szarą tkaniną, i Ormian w potwornie wielkich kołpakach, coś niby czapka grenadiera, górą rozdęta. Muzułmanin nie śmiałyby się pokazać publicznie w tych przybytkach kultu Bachusa.

Po nakryciach głowy wyodrębniających każdą narodowość, zwłaszcza wśród ludu, nie należy sądzić, aby Turcja była tak jak niegdyś krajem nierówności. Ongi obuwie, zarówno jak czapki, wskazywało wyznanie każdego mieszkańca. Jedyne Turkom przysługiwało prawo noszenia żółtych butów lub babuszów; Ormianie nosili obuwie czerwone, Grecy błękitne, Żydzi — czarne. Tylko mułmanie mogli przywdziewać szaty jaskrawe i bogate. Różnice te rozciągały się nawet na domy; siedziby Turków odznaczały się żywymi barwami; pozostałym wolno było używać w tym celu jedynie ciemnych odcieni. Dziś wszystko się zmieniło; każdy poddany imperium ma prawo oblec niemal europejski strój, wprowadzony przez reformę, oraz nałożyć czerwony fez, niknący częściowo w zwojach niebieskiego jedwabiu, tak sutych, że mogą uchodzić za błękitną czuprynę.

Miałem sposobność się o tym przekonać widząc znaczną liczbę ludzi podobnie ubranych, którzy zmierzali pieszo lub konno ku europejskiej promenadzie Pery, mało uczęszczanej przez rodowitych Turków. Moda butów lakierowanych zniweczyła dla większości *czelebi* (elegantów) wszelkich narodowości dawną niejednolitość obuwia. Należy wszakże podkreślić, że fanatyzm tkwi nadal jeszcze głębiej u *raja* niż u mułmanów. Przyzwyczajenie, a także ubóstwo wpływa skądinąd na zachowanie dawnego stroju, klasyfikującego mieszkańców wedle narodowości.

Ale któż by jeszcze wierzył w nietolerancję Konstantynopola podziwiając ożywiony widok, jaki przedstawia promenada europejska? Ekwipaże wszelkiego rodzaju mijają się szybko u wylotu ulicy, konie harcują, od czasu do czasu strojne kobiety zmierzają w stronę lasku schodzącego ku morzu albo w stronę drogi do Buyukdere, gdzie mieszczą się wille kupców i bankierów. Jeśli pójdziemy prosto przed siebie, już o parę kroków trafimy na ścieżkę biegnącą wąwozem, obramowaną po brzegach krzakami, ocienioną świerkami i modrzewiami, skąd poprzez prześwity ujrzymy morze oraz cieśninę pomiędzy Skutari i cyplem Seraju, którym kończy się Sztambuł. Wieża Leandra, zwana przez Turków Wieżą Córki, wznosi się pomiędzy dwoma miastami pośrodku odnogi morskiej, ciągnącej się niby rzeka po naszej lewej ręce. Jest to wąska czworokątna budowla na skale, podobna z daleka do budki szyldwacha; w dali Wyspy Książęce rysują się mgliście u wjazdu na morze Marmara.

Zbytecznym byłoby dodawać, że ów lasek tak malowniczy, tak pełen tajemniczości i świeżej zieleni, to znowu cmentarz. Trzeba się z tym pogodzić: wszystkie miejsca spacerów w Konstantynopolu znajdują się wśród mogił. Spójrzcie tam, poprzez gęstwinę drzew, widać rzędy białych widm, tu i ówdzie promień słońca podkreśla wyraźnie ich zarysy; są to płyty z białego marmuru wysokości człowieka, zamiast głowy mają kulę, a nad nią turban, niektóre z nich są malowane i złoczone, co jeszcze dopełnia złudzenia; kształt turbanu wskazuje rangę oraz wiek zmarłego. Nie wszystkie są udrapowane wedle ostatniej mody. Niektóre z tych kamiennych postaci mają obłamane głowy, co świadczy, że wznosiły się nad grobami janczarów, a gdy owa milicja została zniesiona, gniew ludu nie zaspokoił się żywymi; sięgnął aż na cmentarze, gdzie ścięto głowy nawet pomnikom zmarłych.

Nad grobami kobiet wznoszą się również płyty, ale zamiast głowy umieszczona jest wypukła rozeta ornamentacyjna ułożona z kwiatów rzeźbionych i złoczonych. Posłuchajcie głośnych śmiechów rozbrzmiewających pod koronami żałobnych drzew: to wdowy, matki i siostry, które zbierają się w

rodzinnym grobie nad mogiłami ukochanych istot.

Wiara jest tak głęboka w tym kraju, że po łzach wylanych w chwili rozstania wszyscy myślą już tylko o szczęściu, jakie jest udziałem zmarłych w raju Mahometa. Rodziny każą sobie przynosić obiad, który spożywają w pobliżu grobu, dokoła rozlegają się radosne okrzyki dzieci, nikt nieomieszka wydzielić zmarłemu należnej mu części, wsuwa się ją w otwór umieszczony w tym celu przed każdą mogiłą. Bezdomne psy, które asystują zazwyczaj przy tej scenie, ciesząc się nadzieją bliskiej kolacji, kontentują się tymczasem resztkami obiadu rzucanymi im przez dzieci. Nie należy sądzić, aby rodzina myślała, że zmarły korzysta z jadła, które mu poświęcono, lecz jest to stary obyczaj sięgający zamierzchłych czasów. Niegdyś żywiły się tymi nabożnymi ofiarami święte węże, ale w Konstantynopolu i psy także są święte.

Opuściwszy lasek, okalający koszary artyleryjskie zbudowane z rozmachem, znalazłem się na drodze do Buyukdèrè. Przed koszarami leży odłogiem zarosły darnią plac; byłem tam świadkiem sceny związanej nierozłącznie z tym, co opisałem poprzednio: kilkaset psów zgromadziło się na trawie skomląc niecierpliwie. Wkrótce potem zobaczyłem wychodzących z koszar kanonierów; szli parami dźwigając olbrzymie kotły zawieszane na długim drągu wspartym na ramionach. Psy zawyły radośnie. Ledwie kotły ustawiono, a już zwierzęta rzuciły się na zawarte w nich pożywienie; zajęcie żołnierzy polegało teraz na utrzymaniu w jakim takim porządku zbyt wielkiego natłoku, służyły do tego drągi, na których przynieśli kotły.

— Psy dostają zupę — powiedział mi przechodzący Włoch — nie mają krzywdy.

Zdaje mi się jednak, że były to tylko resztki żołnierskiej strawy. Względy, jakimi cieszą się psy w Konstantynopolu, wynikają stąd, że oczyszczają one ulice z resztek mięsa i kości, które mieszkańcy przeważnie tam wyrzucają. Pobożne fundacje czynione na ich dobro, zbiorniki pełne wody znajdujące się przed wejściem do meczetów i w pobliżu studni, mają niewątpliwie to samo na celu.

Czas poszukać wdzięczniejszego widowiska. Minąwszy fasadę koszar znajdujemy się przed bramą Wielkiego Cmentarza; jest to olbrzymie płaskowzgórze ocienione platanami i sosnami. Idziemy najpierw pośród mogił Europejczyków, widać dużo napisów angielskich z wrytymi herbami; wszystko to mieści się na długich, płaskich kamieniach, na których każdy siada sobie bez skrupułów, niby na marmurowej ławie. Kawiarnia w kształcie kiosku wznosi się na polance, skąd rozciąga się widok na morze. Widać stamtąd wyraźnie brzegi Azji, usiane malowanymi domami i meczetami tak, jak gdybyśmy przyglądali się brzegom Renu. Horyzont zamyka w dali ścięty szczyt Olimpu w Bitynii, którego profil niknie prawie w chmurach. Na lewym brzegu ciągną się zabudowania letniego pałacu sułtana, o długich kolumnadach greckich, dachach ozdobionych festonami i złotonych sztachetach błyszczących w słońcu.

Idźmy jeszcze dalej. To część cmentarza poświęcona Ormianom. Płaskie nagrobki pokrywają litery pisane w ich języku, na marmurze wyrzeźbione są godła rzemiosła, które każdy z nich uprawiał całe życie: tu klejnoty, tam młotki i ekierki, ówdzie wagi, wreszcie różnego rodzaju narzędzia.

Jedynie kobiety mają na płycie grobowej niezmiennie bukiety kwiatów.

Odwróćmy wzrok od tych wrażeń nasuwających Europejczykowi zawsze poważne myśli. Dokoła olbrzymi tłum: twarze kobiet są niezastłonięte, wyraziste ich rysy ożywia radość i zdrowie, czy głowy ich nakrywa wschodni zawój, czy też czepeczek albo kapeluszek europejski. Tylko niektóre Ormianki zarzucają na twarz o pięknym orlim nosie leciutką opaskę gazową, zaledwie przesłaniającą rysy, co dla kobiet nie pierwszej młodości stanowi cenną broń w arsenale kokieterii. Dokąd dąży ten tłum strojny i radosny? Jak zawsze do Buyukdere.

SAN DIMITRI

Jednakowoż znaczna część publiczności zatrzymuje się w eleganckich kawiarniach ciągnących się wzdłuż drogi. Po lewej ręce natrafiamy na jedną z nich, której szerokie galerie wychodzą z jednej strony na Wielki Cmentarz, z drugiej na rozległą przestrzeń pociętą kotlinami i pagórkami, gdzie wznoszą się lekkie budynki wśród ogrodów. Za nimi ukazuje się daleka linia horyzontu, a na niej rozpięta koronka meczetów i minaretów Sztambułu. Te hafty zdobiące horyzont, nużące dla oka na dłuższą metę, cechują większość widoków przy wjeździe do Bosforu.

Owa kawiarnia to miejsce spotkań najlepszego towarzystwa, rzekłbyś *café chantant* na Polach Elizejskich. Rzędy stolików ustawionych z obu stron drogi obsiedli dandysi i elegantki z Pery. Wszystko jest tu podane na francuską modłę: lody, lemoniada, mokka. Jedynym szczegółem nadającym koloryt lokalny to stała obecność trzech czy czterech bocianów, które, z chwilą gdy zamówimy kawę, stają przed naszym stolikiem niczym żywe znaki zapytania. Ich długi dziób osadzony na wysokiej szyi, choć góruje nad naszym stolikiem, nie śmiałyby zaatakować cukierniczki. Czekają z szacunkiem. Oswojone ptaki chodzą tak od stolika do stolika, otrzymując kawałki cukru albo biszkopty.

Przy sąsiednim stoliku siedział człowiek w dość podeszłym wieku, o włosach równie białych jak krawat, ubrany w czarny surdut nieco staroświeckiego kroju, z wstążeczką w butonierce w barwach różnych krajów. Zagarnął wszystkie gazety, jakie były w kawiarni, położył „Journal de Constantinople” na „Echo de Smyrne” i „Portefolio maltese” na „Currier d'Athènes”, słowem wszystko, co mogłoby mnie w tej chwili uszczęśliwić, dostarczając mi nowin z Europy. On zaś nad stosem piętrzących się dzienników czytał z uwagą „Moniteur ottoman”.

Ośmieliłem się pociągnąć za jedną z gazet, przepaszając go za to grzecznie: cisnął mi krwiożercze spojrzenie; podobnym wzrokiem spoglądali na mnie tylko stali bywalcy najstarszych kawiarni paryskich...

— Zaraz skończę „Moniteur ottoman” — powiedział. Poczekałem kilka minut. Był łaskaw na mnie i oddał mi wreszcie gazetę z ukłonem o wyraźnie osiemnastowiecznym zacięciu.

— Panie — dodał — mamy dziś wieczór wielkie święto. „Moniteur” donosi nam o narodzinach księżniczki, a ten ewenement, tak radosny dla wszystkich poddanych Jego Wysokości, zbiega się przypadkiem z rozpoczęciem Ramazanu.

Od tej chwili przestałem się dziwić, że wszyscy mają wygląd świąteczny, i czekałem cierpliwie, bądź patrząc na drogę ożywioną przejeżdżającymi powozami i kawalkadami, bądź przeglądając dzienniki europejskie, które mój sąsiad wręczał mi w miarę, jak skończył czytanie ich.

Snadź ocenił moją grzeczność i cierpliwość, gdyż zagadnął mnie widząc, że zbieram się do wyjścia:

— Dokąd się pan wybiera? Na bal?

— A czy jest jaki bal? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Słyszysz pan stąd muzykę.

Istotnie piskliwe tony orkiestry greckiej czy wołoskiej dolatywały moich uszu. Nie dowodziło to wszakże, by tańczono przy jej dźwiękach; większość winiarni i kawiarni w Konstantynopolu posiada kapelę przygrywającą nawet w ciągu dnia.

— Chodźmy — powiedział mi nieznajomy.

O jakie dwieście kroków od kiosku, który opuściliśmy przed chwilą, zobaczyliśmy wspaniale udekorowaną bramę wiodącą do ogrodu położonego na skrzyżowaniu dróg, mającego zatem kształt

trójkąta. Drzewa sadzone w szachownicę, połączone girlandami, altany zieleni i krzewów otaczające stoły, wszystko tworzy obraz dość pospolity dla oka paryżanina. Mój przewodnik nie posiadał się z zachwytu. Weszliśmy do wnętrza, na które składało się kilka sal wypełnionych konsumentami; orkiestra nadal rzępoliła dziarsko na jednostronnych skrzypcach, trzciniowych fletach, tamburynach i gitarach, wykonując zresztą dość oryginalne melodie. Zapytałem, gdzie odbywa się bal.

— Proszę zaczekać! — odpowiedział starzec. — Bal może się rozpocząć dopiero o zachodzie słońca. Taki jest nakaz policji. Ale, jak pan widzi, to już niedługo nastąpi.

Zaprowadził mnie do okna; istotnie wkrótce słońce zaczęło się kryć za fiołkowymi Uniami horyzontu górującymi nad Złotym Rogiem. Równocześnie rozległ się ze wszystkich stron ogłuszający huk. To armaty Tofana oraz działa wszystkich statków w porcie salwą powitały podwójne święto. Magiczne widowisko rozpoczynało się zarazem na całym dalszym planie, na którym rysują się gmachy Stambułu. W miarę jak cień spływał z nieba na ziemię, ukazywały się długie, płomienne różańce podkreślające sklepienia meczetów i znaczące na ich kopułach zawile arabeski, były to zapewne wersety kreślone pismem ozdobnym; smukłe minarety, strzelające w górę niby tysiące masztów, otoczone były pierścieniami świateł, na których tle rysowały się misternie galeryjki umieszczone na ich szczycie. Ze wszystkich stron rozbrzmiewały śpiewy muezinów, tak łagodne zazwyczaj, dziś rozgłosne niby tryumfalne pieśni.

Powróciliśmy na salę, tańce już się rozpoczęły.

Na środku sali utworzyła się duża pusta przestrzeń; zobaczyliśmy, jak drzwiami w głębi wchodzi chyba z piętnastu tancerzy w czerwonych nakryciach głowy, haftowanych kaftanach i pasach jaskrawej barwy. Byli to sami mężczyźni.

Pierwszy zdawał się prowadzić następnych, którzy trzymali się za ręce kołysząc ramiony, podczas gdy on sam łączył swój miarowy taniec z ruchami sąsiada za pomocą chustki trzymanej za rogi. Rzekłbyś, że jest on głową węża o giętkiej szyi, jego towarzysze zaś tworzą dalsze ogniwa

Był to oczywiście taniec grecki, z przeginaniem się w biodrach, splataniem rąk i zawilętymi *pas*, jakie narzuca owa choreografia. Kiedy skończyli, ja zaś otwierałem już usta, aby wyrazić, jak mnie znudziły tańce mężczyzn, których za wiele widziałem w Egipcie, gdy ujrzelśmy nagle ukazującą się taką samą liczbę kobiet, które wykonały tę samą figurę. Były przeważnie ładne i bardzo zgrabne w stroju wschodnim; ich czerwone czapeczki haftowane złotem, kwiaty i gazowe lamowane zawoje na głowie, długie ozdobione cekinami warkocze spływające aż do stóp zjednały im licznych wielbicieli wśród obecnych. Jednakże były to młode dziewczęta jońskie, które przyszły tu z przyjaciółmi albo z braćmi i jakakolwiek próba umizgów do jednej z nich wywołałaby walkę na noże.

— Niebawem pokażę panu coś lepszego — rzekł uprzejmy starzec, z którym dopiero co zawarłem znajomość.

Po wypiciu zatem sorbetów opuściliśmy ów zakład, który jest Mabillem Europejczyków z Pery.

Iluminowany Stambuł jaśniał w dali na pociemniałym horyzoncie, jego profil zaś, o tysiącach pełnych wdzięku wygięć, zaznaczał się z całą wyrazistością, przypominając owe obrazki wykłuwane szpilką, które dzieci przesuwają przed płomieniem lampy. Było za późno, aby się tam udać, gdyż nie wolno przeprowiać się przez zatokę po zachodzie słońca.

— Przyzna pan — powiedział starzec — że Konstantynopol jest prawdziwą siedzibą wolności. Przekona się pan o tym wkrótce jeszcze bardziej. Byle tylko uszanować psy, co zresztą nakazuje przezorność, i byle zapalić latarnię po zachodzie słońca, człowiek w nocy jest tu tak samo wolny jak w Londynie... a jakże mało tej wolności ma się w Paryżu!

Wyciągnął z kieszeni blaszaną latarkę, której płócienne ścianki dają się rozciągać niby miechy, i osadził w niej świecę.

— Widzi pan — ciągnął dalej — jak te długie aleje cyprysów na cmentarzu są jeszcze ludne o tej porze.

W istocie, jedwabne szaty lub feredże z cienkiego sukna przesuwały się tu i ówdzie, muskając liście krzewów; tajemnicze paplaniny, stłumione śmiechy przenikały poprzez gąszcz szpalerów. Latarnie migocące w rękach spacerowiczów przypominały mi akt opery „Robert Diabeł”, w którym występują powstałe z grobu zakonnice, tak jak gdyby tysiące płaskich kamieni oświetlonych w przejściu miało się nagle uchylić; nic podobnego, wszystko było uśmiechnięte i spokojne; jedynie powiew od morza kołysał uśpione gołąbki wśród gałęzi cisów i cyprysów. Przypomniał mi się wiersz Goethego:

*Dotąd w całej życia sile
Roztaczasz skrzydła na twej mogile
O genijuszu dzielny*

Zmierzaliśmy tymczasem w stronę Pery zatrzymując się niekiedy, aby podziwiać cudowny widok doliny chylącej się ku zatoce oraz iluminację wieńczącą błękitnawe tło, na którym rysowały się wierzchołki drzew, miejscami zaś połyskiwało morze, odbijając kolorowe latarnie zawieszane na masztach okrętów.

— Nie domyśla się pan nawet — odezwał się znów starzec — że rozmawia pan w tej chwili z dawnym paziem cesarzowej Katarzyny II.

„To godne szacunku — pomyślałem — sięga bowiem co najmniej ostatnich lat ubiegłego wieku”.

— Muszę przyznać — dodał starzec z pewnym żalem — że nasza monarchini (jestem bowiem Rosjaninem) była wówczas w pewnym stopniu tym, czym ja staję się dzisiaj.

Westchnął. Po czym zaczął długo opowiadać o cesarzowej, o jej rozumie, czarującym wdzięku, dobroci:

— Nieustannym marzeniem Katarzyny było zobaczyć Konstantynopol. Wspominała czasem, że uda się tam przebrana za niemiecką mieszczańkę. Wolałaby jednak wtargnąć tam drogą podboju i w tym celu wysłała do Grecji ekspedycję pod dowództwem Orłowa, która była pośrednim bodźcem rewolucji Hellenów. Wojna krymska również miała ten sam cel, jednakże Turcy bronili się tak dzielnie, że cesarzowa zdołała zaledwie wejść w posiadanie tej prowincji, zagwarantowanej ostatnio przez traktat pokoju.

Słyszał pan zapewne o festynach, jakie wydawano w tym kraju; brało w nich udział kilku waszych szukających przygód arystokratów. Na dworze cesarzowej mówiono wyłącznie po francusku, interesowano się jedynie filozofią encyklopedystów, tragediami granymi w Paryżu i lekką poezją. Książę de Ligne przybył zachwycony „Ifigenią w Taurydzie” Guymonda de Ja Touche. Cesarzowa podarowała mu od razu część dawnej Taurydy, gdzie odnaleziono, jak się zdawało, ruiny świątyni wzniesionej przez okrutnego Toasa. Książę był wielce zakłopotany tym prezentem, o powierzchni kilku mil kwadratowych, zamieszkałym przez rolników-muzułmanów, którzy oddawali się przez cały dzień paleniu tytoniu i picciu kawy. Ponieważ wojna zubożyła ich tak dalece, że nie mogli nadal spędzać czasu w podobny sposób, książę de Ligne był zmuszony dać im pieniędzy na uzupełnienie zapasów. Rozstali się w najlepszej zgodzie.

Był to dość mierny dowód hojności. Potiomkin zdobył się na wspanialszy gest. Ponieważ piaszczysta okolica, gdzie się znaleziono, raziła oczy monarchini, kazał zwieźć z odległości pięćdziesięciu mil całe lasy ściętych sosen, te jednak, prawdę powiedziawszy, zapewniały cień tylko podczas pobytu cesarskiego dworu.

Tymczasem Katarzyna była niepokieszona, że straciła sposobność zwiedzenia wybrzeży Azji. Dla zabicia wolnych chwil pobytu na Krymie, poprosiła pana de Ségur, by nauczył ją pisać francuskie wiersze. Kaprysy tej kobiety nie miały granic. Gdy już zdała sobie sprawę z nasuwających się trudności, zamknęła się na cztery godziny w swoim gabinecie; gdy wyszła stamtąd ułożyła tylko dwa Aleksandryny, zaledwie znośne. Na więcej nie potrafiła się zdobyć: Oto one:

*W sultańskim seraju, pośród adamaszków
W altance różanej o złocistym daszku...*

Nie umiała wywiązać się całkowicie z zadania.

— Te wiersze — zauważyłem — nie są pozbawione pewnego kolorytu wschodniego; zdradzają nawet chęć dowiedzenia się, co sądzić o galanterii Turków.

— Książę de Ligne uznał, że rymy tego dystychu są okropne, co zniechęciło cesarżową do wszelkiej prozodii francuskiej... Mówię tu panu o rzeczach, które znam jedynie ze słyszenia. Byłem wówczas jeszcze w kołysce i widziałem tylko ostatnie lata jej wielkiego panowania... Po śmierci cesarżowej, odziedziczyłem widać po niej silne pragnienie zobaczenia Konstantynopola, które ją trawiło. Porzuciłem rodzinę i przyjechałem tutaj z bardzo niewielką kwotą pieniędzy. Miałem dwadzieścia lat, piękne zęby i zgrabne nogi...

PRZYGODA W STARYM SERAJU

Mój sędziwy towarzysz przerwał na chwilę, westchnął i rzekł patrząc w niebo: — Zamierzam ciągnąć dalej moje opowiadanie, chciałbym tylko pokazać panu króla tego święta, które się rozpoczyna w Stambule i trwać będzie przez trzydzieści nocy — tu wskazał palcem punkt na niebie, na którym pojawił się wąski sierp: był to nowy księżyc, księżyc Ramazanu, zaledwie rysujący się na horyzoncie. Uroczystości rozpoczynają się dopiero wówczas, gdy dostrzeżono go wyraźnie z wyżyn minaretów albo gór sąsiadujących z miastem. Wiadomość o tym przekazywano przy pomocy sygnałów.

— Co pan robił kiedyś w Konstantynopolu? — zapytałem po tej dygresji widząc, że starzec chętnie powraca do wspomnień młodości.

— Konstantynopol, proszę pana, był znacznie świetniejszy niż dzisiaj: we wszystkich domach, jak również w gmachach, które odtąd przebudowano na modłę europejską, dominował gust wschodni. Obyczaje były surowsze, lecz trudności nawiązania intryg miłosnych stanowiły najpotężniejszy ich urok.

— Proszę, niech pan mówi dalej! — nalegałem, żywo zainteresowany widząc, że starzec znowu przerywa.

— Nie będę panu opowiadał o kilku przemiłych znajomościach, które nawiązałem z osobami średniego stanu. W tego rodzaju wypadkach ryzyko ponosi właściwie tylko kobieta, chyba że ktoś jest na tyle nieostrożny, aby złożyć wizytę Turczynce u niej w domu lub stara się wśliznąć tam ukradkiem. Nie będę się chwalił podobnymi przygodami, na jakie się odważyłem. Jedyne ostatnia mogłaby pana zainteresować.

— Moi rodzice boleli nad rozłąką z synem, odmawiali mi uparcie środków, które pozwoliłyby mi przebywać dłużej w Konstantynopolu; byłem więc zmuszony przyjąć posadę u kupca w Galacie. Przyjąłem posadę pisarza u bogatego złotnika, Ormianina; pewnego dnia pojawiło się kilka kobiet, eskortowali je niewolnicy w liberii sułtana.

W owej epoce damy z seraju mogły z całą swobodą załatwiać sprawunki u kupców w dzielnicy europejskiej, gdyż temu, kto nie okazałby im należnego szacunku, groziło tak wielkie niebezpieczeństwo, że nikt by się na to nie odważył. Ponadto chrześcijanie wówczas nie byli prawie traktowani jak mężczyźni... Nawet gdy ambasador francuski we własnej osobie przybywał w odwiedziny do seraju, podawano mu obiad oddzielnie, po czym sułtan zapytywał pierwszego wezyra:

— Czy dałeś jeść psu?

— Tak, pies już zjadł — odpowiadał minister.

— No, to niech go wyrzucą za drzwi!

Te słowa należały do etykiety... Tłumacze wyrażali je w formie komplementu pod adresem ambasadora i na tym koniec.

Uciałem tę dygresję prosząc mego towarzysza, aby powrócił do wizyty pań z seraju u złotnika.

— Domyśla się pan, że w takich okolicznościach pięknym paniom towarzyszyły jak zwykle strażki, pod komendą Kyslar Agi (starszego eunucha). Zresztą wdzięki tych dam pozostawiały jedynie szerokie pole wyobraźni, były bowiem starannie udrapowane i zamaskowane, niczym domina na balu w operze. Ta, która zdawała się przewodzić nad innymi, kazała sobie pokazać różne klejnoty i wybrawszy jeden komplet, zamierzała zabrać go z sobą. Zwróciłem jej uwagę, że oprawę należy oczyścić i że brak jest paru drobnych kamyczków.

A więc — zapytała — kiedy można po to przysłać?... Klejnoty są mi potrzebne na pewien festyn;

mam się pojawić przed sułtanem.

Skloniłem się przed nią z szacunkiem i nieco drżącym głosem odrzekłem, że nie możemy przewidzieć dokładnie, ile czasu zajmie ta robota.

— W takim razie — powiedziała dama — gdy klejnoty będą gotowe, niech pan przyśle jednego ze swych subiektów do pałacu Besziktaş. — To powiedziawszy powiodła dokoła oczyma z roztargnieniem.

— Ja sam przyjdę, wasza wysokość — odparłem — nie można bowiem powierzyć jednemu z niewolników, a nawet subiektowi klejnotu tak wielkiej wartości.

— Dobrze! — powiedziała — niech mi pan to sam przyniesie, a zapłacę panu należność.

Oczy kobiet są tu bardziej wymowne niż w jakimkolwiek kraju — to jedno bowiem jest widoczne. Zdawało mi się, że w wyrazie oczu sułtanka, gdy do mnie się zwracała, wyczytałem szczególną życzliwość; moje rysy i mój wiek usprawiedliwiały ją poniekąd... Proszę pana, mogę to dziś powiedzieć bez zarozumiałości, byłem jednym z ostatnich prawdziwie pięknych mężczyzn w Europie.

To mówiąc wyprostował się, a postać jego nabrała przy tym pewnej wytworności, której dotychczas nie zauważyłem.

— Kiedy klejnoty były już gotowe, udałem się do Besziktaş, tą samą drogą do Buyukdere, gdzie jesteśmy w tej chwili. Wszedłem do pałacu przez dziedzińce od strony pola. Kazano mi czekać pewien czas w sali przyjęć, po czym sułtanka poleciła, aby mnie do niej wprowadzono. Doręczyłem klejnoty, otrzymałem pieniądze i byłem już gotów się oddalić, kiedy jeden z dworzan zapytał mnie, czy nie chciałbym się przyjrzeć tańcom na linie, które to widowisko ma się odbyć w pałacu, sztukmistrze zaś weszli tam przede mną. Przyjąłem zaproszenie, sułtanka kazała mi podać obiad i raczyła nawet zapytać, czy zostałem należycie obsłużony. Powinienem był przeczuć, że we względach okazywanych mi przez osobę stojącą tak wysoko kryje się pewne niebezpieczeństwo... Gdy noc zapadła, dama kazała mnie wprowadzić do sali jeszcze wspanialszej niż poprzednia i poleciła przynieść kawę i nargile... Kapela złożona z różnych instrumentów umieszczona była na wysokim podium otoczonym balustradą, wszyscy zdawali się oczekiwać na coś nadzwyczajnego, czemu miała akompaniować muzyka. Zdawało mi się rzeczą oczywistą, że sułtanka przygotowała to wszystko na moją cześć, jednakże nie przestawała trwać w na w pół leżącej pozie na sofie w głębi pokoju, dumna, niczym cesarzowa. Na pozór pochłaniał ją całkowicie widok ćwiczeń, które się przed nią odbywały. Nie mogłem pojąć takiej nieśmiałości czy też tak ścisłego przestrzegania etykiety, które nie pozwalało jej wyjawic mi swoich uczuć; doszedłem do wniosku, że należy zdobyć się na większą śmiałość...

Przypadłem do jej ręki, czego mi zbytnio nie bronila, kiedy dokoła nas wybuchła straszna wrzawa. „Janczarzy! Janczarzy!” — krzyknęła służba, a za nią niewolnicy. Sułtanka zapytała, zdaje się, o coś swoich dworzan, po czym wydała rozkaz, którego nie dosłyszałem. Obu linoskoków oraz mnie zaprowadzono ukrytymi schodami do niskiej sali, gdzie pozostawiono nas jakiś czas w ciemnościach. Słyszeliśmy nad naszymi głowami pospieszne kroki żołnierzy, potem coś jakby bójkę; zlodowacieliśmy ze strachu. Było rzeczą oczywistą, że wylamano drzwi, które nas dotąd chroniły, i że zaraz wtargną do naszej kryjówki. Dworzanie sułtanki zbiegli szybko po schodach, podnieśli jakąś klapę w sali, gdzie się schroniliśmy, mówiąc nam: — „Wszystko stracone... uciekajcie tędy!” Stopom naszym, szukającym po omacku schodów, zabrakło nagle oparcia. Daliśmy wszyscy trzej nura do Bosforu... Pałace nad morzem, między innymi Besziktaş, który pan widział pewnie na europejskiej stronie, o ćwierć mili za miastem, są częściowo zbudowane na palach. Sale parterowe mają posadzki z cedrowego drzewa, kładzione bezpośrednio nad powierzchnią wody; zdejmuje się płyty wówczas,

gdy damy z seraju chcą się wprawiać w pływaniu. W takiej to kąpieli znaleźliśmy się, pogrążeni w ciemnościach. Klapę zamknięto nad naszymi głowami, nie sposób było ją uchylić. Zresztą odgłosy miarowych kroków i szczęk broni dolatywały jeszcze naszych uszu. Ledwo mogłem od czasu do czasu zaczerpnąć tchu, utrzymując się na powierzchni wody. Nie widząc możliwości powrotu do pałacu, starałem się chociaż wypłynąć poza jego obręb. Jednakże gdy docierałem do jego granic, znajdowałem wszędzie kraty umocowane pomiędzy palami; umieszczono je zapewne w tym celu, aby kobiety nie mogły wplaw wymknąć się z pałacu.

Niech pan sobie wyobrazi niewygodę podobnej sytuacji: nad głową szczelnie zamknięta podłoga, sześć cali powietrza pod deskami i woda przybierająca stopniowo — prawie niedostrzegalny przyływ Morza Śródziemnego, które co sześć godzin wznosi się o jedną lub dwie stopy. Był to więcej, niż potrzeba, aby mnie przekonać, że zatnę niechybnie w bardzo krótkim czasie. Toteż wstrząsałem z rozpaczliwą siłą palami, które więdły mnie jak w klatce. Raz po raz słyszałem westchnienia dwóch nieszczęsnych linoskoczków, którzy podobnie jak ja usiłowali utorować sobie przejście. Natrafiłem wreszcie na pal mniej mocny niż pozostałe, stoczony zapewne przez wilgoć, lub ze starszego drzewa niż tamte, który zdawał się ustępować pod naporem mojej ręki. Rozpaczliwym wysiłkiem zdołałem odłupać zgniły kawał i wysliznąć się na zewnątrz, dzięki smukłej postaci, jaką miałem wówczas. Potem, czepiając się zewnętrznych pali, zdołałem pomimo zmęczenia dopłynąć do brzegu. Nie wiem, co się stało z moimi dwoma towarzyszami niedoli. Wystraszony przebytymi niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju, opuściłem czym prędzej Konstantynopol.

Nie mogłem się powstrzymać, po wyrażeniu staruszkowi współczucia z racji niebezpieczeństw, na jakie był narażony, by nie napomknąć, iż podejrzewam, że zatuszował trochę niektóre fragmenty swego opowiadania.

— Panie — odrzekł na to — pozwoli pan, że pomnę to milczeniem; za nic w świecie nie zdradziłbym łask...

Nie dokończył. Słyszałem już o ciemnych historiach przypisywanych pewnym damom ze Starego Seraju, u schyłku ubiegłego wieku... Uszanowałem dyskrecję tego skostniałego ze starości Buridana.

OSADA GRECKA

Dotarliśmy na wzniesienie górujące nad San Dimitri. Jest to osada grecka położona pomiędzy Wielkim a Małym Cmentarzem. Prowadzi ! tam ulica, wzdłuż której stoją drewniane, bardzo wytworne domy, przypominające trochę styl chiński pod względem konstrukcji i ornamentacji zewnętrznej.

Sądziłem, że ulica ta skróci drogę, którą musieliśmy przebyć, aby wrócić do Pery. Tylko że trzeba było zejść w dolinę, środkiem której płynie strumień. Brzegi jego służą za ścieżkę, wiedzie ona aż nad morze. Z obu stron wybudowano mnóstwo kasyn i winiarni. Mój towarzysz zapytał:

— Dokąd chciałby pan pójść?

— Najchętniej poszedłbym spać.

— Ależ podczas Ramazanu sypia się tylko w dzień. Zakończmy jakoś tę noc... później, o wschodzie słońca, rozsądek nakazuje położyć się do łóżka. Jeżeli pan pozwoli, zaprowadzę pana do domu, gdzie grają w baka.

Szczyty domów, pomiędzy którymi przechodziliśmy, wykuszami wysuniętymi na ulicę, zakratowanymi oknami, oświetlonymi od wewnątrz, i polakierowanymi jaskrawo ścianami, wskazywały istotnie, że służą one za miejsce spotkań nie mniej wesołych niż te, które oglądaliśmy przed chwilą.

Ktokolwiek lękałby się zbyt pewnych opisów dość delikatnej natury, musiałby wyrzec się odmalowania obyczajów panujących w Konstantynopolu. Pięćdziesięciu tysięcy Europejczyków zamieszkujących dzielnice Pera i Galata — a są pomiędzy nimi Włosi, Francuzi, Anglicy, Niemcy, Rosjanie, Grecy — nie łączy żadna więź moralna, nawet jedność religii, poszczególne wyznania bowiem są w większej z sobą niezgodzie niż całkowicie odmienne religie. Ponadto nie ulega wątpliwości, że w mieście, gdzie kobiety wiodą życie w takim odosobnieniu, nie sposób byłoby ujrzeć choćby nawet twarzy niewiasty urodzonej w tym kraju, gdyby nie powstały pewne kasyna czy kluby, w których, przyznać to trzeba, towarzystwo bywa dosyć mieszane. Oficerowie marynarki, młodzież z wysokiej finansjery, różnorodny personel ambasad, wszystkie te elementy, rozproszone i odcięte od towarzystwa europejskiego, czują potrzebę znalezienia sobie miejsca spotkań, które byłoby terenem bardziej neutralnym niż wieczory u ambasadorów, dragomanów i bankierów. Tym się tłumaczy dość znaczna liczba bali składkowych, które się odbywają w obrębie Pery.

Tutaj znaleźliśmy się w osadzie czysto greckiej, która jest Kapuą ludności europejskiej. Zdarzyło mi się już w biały dzień przechodzić środkiem tej osady nie domyślając się, że kryje tyle możliwości nocnych rozrywek, kasyn, a nawet, przynajmniej otwarcie, szulerni. Patriarchalny wygląd ojców i mężów siedzących na ławkach albo zajętych jakimś rzemiosłem: stolarką, wyrobem dachówek czy też tkactwem, skromne zachowanie kobiet odzianych modą grecką, beztroska wesołość dzieci, ulice pełne drobiu i prosiąt, kawiarnie o wysokich galeriach z balustradą, wychodzących na zamgloną dolinę, na strumień o brzegach porośniętych trawą, zieloność sosen i drewniane domy ozdobione rzeźbami przypominały raczej jakąś zaciszną wioskę w Dolnych Alpach. Kto by zresztą przypuszczał, że nocą może tu być inaczej, nie widząc ani odrobiny światła sączącego się przez okienne kraty? Tymczasem, po capstrzyku, niejedno wewnątrz było nadal oświetlone i tańce, jak również gra w karty przeciągały się aż do rana. Nie sięgając aż do tradycji greckich heter, mimo woli nasuwa się myśl, że młodzież mogłaby niekiedy zawiesić girlandy nad tymi malowanymi drzwiami, jak za czasów starożytnej Alcymadury. Zobaczylibyśmy, jak przechodzi tamtędy nie grecki kochanek w wieńcu z kwiatów na głowie, lecz mężczyzna o wyglądzie Anglika, prawdopodobnie marynarz, ubrany

wszakże całkiem na czarno, z białym krawatem i w białych rękawiczkach; przed nim szedł skrzypek. Człowiek ów kroczył poważnie za wiejskim grajkiem, któremu polecił rozweselać tę wędrowkę, lecz sam miał minę dość melancholijną. Doszliśmy do wniosku, że musi to być jakiś kapitan statku, bosman, który hojną ręką trwoni zarobione na morzu grosze.

Mój przewodnik zatrzymał się przed domem równie starannie zaciemnionym na zewnątrz jak pozostałe i zapukał lekko kilka razy do lakierowanych drzwi. Murzyn otworzył nam, widocznie trochę zalekniony, potem jednak, zobaczywszy kapelusze, uklonił się i zaczął nas tytułować „effendi”.

Dom, w którym się znaleźliśmy, acz wdzięczny i wytworny na pozór, nie odpowiadał pojęciu tureckiego wnętrza, jak zwykliśmy je sobie wyobrażać. Czas mija, a przysłowiowy bezruch wschodni poczyna się z lekka chwiać pod naporem cywilizacji. Reforma, która nałożyła tarbusz na głowę Turków i uwięziła ich w surduty zapięte aż po szyję, wprowadziła również i do tureckich siedzib pewien umiar, w którym znajduje upodobanie nowoczesny smak. Znikł więc gąszcz arabesek, znikły sufity ornamentowane w kształcie plastrów miodu albo zdobne w stalaktyty; znikły wycinanki w koronkowe wzory, znikły kasetony z drzewa cedrowego; są natomiast ściany gładkie, malowane bądź politurowane, gzymsy o skromnych ozdobach; pozostały tylko jakieś rysunki, wprawione w drewniane boazerie, wazony, z których strzelają esy floresy i gałązki, wszystko razem w stylu czy też pozbawione wszelkiego stylu, przypominające zaledwie dawniejszy gust wschodni, tak kapryśny i mający w sobie coś z bajki.

W pierwszej izbie wyczekiwała służba; w drugiej, nieco bardziej ozdobnej, uderzył mnie widok zgoła niecodzienny. Środek pokoju zajmowało coś niby okrągły stół, nakryty grubym dywanem; otaczały go łoża *à l'antique*, które tu nazywają *tandur*, kilka kobiet spoczywało na nich, na w pół leżąc i tworząc jak gdyby szprychy koła, zwrócone nogami ku środkowi, gdzie znajdowało się, schowane pod dywanem źródło ciepła; majestatyczna, godna szacunku tusza, olśniewające szaty, kaftany obszyte futerkiem, staroświeckie fryzury świadczyły, że owe kobiety osiągnęły wiek, kiedy nie należy się obrażać za miano matrony, tak cenione przez Rzymian; przyprowadziły one po prostu na bal siostrzenice albo córki i czekały, aż skończy się zabawa, podobnie jak matki tancerek paryskiej Opery wyczekują w *foyer* baletu. Większość ich przybyła tu z sąsiednich domów, dokąd powrócą dopiero o świcie.

CZTERY PIĘKNOŚCI

Trzeci z rzędu paradny pokój, który zgodnie z naszymi obyczajami służyłby za salon, umeblowany był otomanami krytymi jedwabiem w kolorach żywych i rozmaitych. Na otomanie w głębi pokoju tronały cztery piękności, które, dzięki malowniczemu przypadkowi czy też w drodze szczególnego wyboru, stanowiły każda odrębny typ wschodniej urody.

Ta, która zajmowała sam środek otomany, była to Czerkieska, co łatwo dawało się poznać po czarnych oczach tworzących kontrast z matowobiałą cerą, po orlim nosku o subtelnym i czystym zarysie, po nieco wydłużonej szyi, po wysokiej i smukłej postaci, oraz delikatnych rękach i nogach, które cechują jej naród. Spod nakrycia głowy, składającego się z gaz nakrapianych złotem i zwiniętych w kształcie turbanu, wymykały się kaskady warkoczy, czarnych jak dżet, co podkreślało jeszcze żywą barwę jej policzków powleczonych szminką. Kaftan ozdobiony haftem i obszyty riuszami oraz jedwabnymi festonami, których pstrokacizna tworzyła jak gdyby równiankę kwiatów dokoła materii, srebrny pas oraz szerokie szarawary z różowej lamy dopełniały stroju, równie świetnego jak pełnego wdzięku. Ma się rozumieć, że zgodnie ze zwyczajem oczy jej były podczernione kreskami *surme*, co je powiększało i dodawało im blasku; paznokcie długie, dłonie o odcieniu pomarańczowym, zabarwione henną; tym samym zabiegiem poddano jej stopy równie wypiełgnowane jak ręce; kulila je pod siebie na otomanie, dzwoniąc raz po raz srebrnymi bransoletami otaczającymi kostki.

Obok niej siedziała Ormianka, której strój, mniej bogaty i egzotyczny, przypominał raczej obecne mody Konstantynopola; fez, podobny do tych, które noszą mężczyźni, tonący w gęstych falach niebieskich jedwabnych zwoi, spływających z przyszytego na denku chwastu; fez ów, zsunięty trochę na tył, zdobił jej głowę o lekko orlim profilu i rysach dość dumnych, lecz wyrażających niemal zwierzęcą obojętność. Miała na sobie coś w rodzaju spencerka z zielonego aksamitu z szeroką obszywką z łabędziego puchu, którego biel i puszystość dodawały jeszcze wytworności szyi otoczonej cieniutkimi sznureczkami srebrnych wisiorów. Talię jej obejmowały cyzelowane płytki, z widniejącymi na nich wypukłymi filigranowymi guzami, zaś na skrzyżowane nogi, z których zrzuciła babusze, hołdując całkiem nowoczesnemu wyrafinowaniu, naciągnęła jedwabne pończochy z haftowaną strzałką.

W przeciwieństwie do swoich towarzyszek, na których ramiona i plecy swobodnie spływały warkocze przeplatane pasmami jedwabiu i małymi metalowymi blaszkami, Żydówka siedząca obok Ormianki, zgodnie z przepisem zakonu, starannie chowała włosy pod czymś na kształt białego czepka, zaokrąglonego jak kula, a przypominającego kobiece nakrycia głowy noszone w XIV wieku. Podobizna Krystyny de Pisan mogłaby dać o nim pojęcie w przybliżeniu. Jej szaty, skromniejsze od stroju towarzyszek, składały się z dwóch tunik włożonych jedna na drugą; wierzchnia sięgała zaledwie kolan; barwy ich były stonowane, hafty zaś mniej błyszczące niż te, które zdobiły suknie innych kobiet. Twarz jej, pełną łagodnej rezygnacji, o subtelnym i regularnym rysach, cechował ów właściwy Konstantynopolowi typ żydowski, ani trochę niepodobny do znanego nam typu.

Nos jej nie miał tak wyraźnego garbu, który u nas narzuca twarzy kobiecej imię Rebeki albo Racheli.

Czwarta z kobiet, siedząca na brzegu otomany, była to młoda, jasnowłosa Greczynka, o czystym profilu, jaki widzimy często na antycznych rzeźbach. Smyrneński *taktikos* o złotych festonach i chwastach, nasunięty kokieteryjnie na ucho, otaczały dwa olbrzymie warkocze ciasno splecionych włosów tworząc turban dokoła głowy; licowało to wspaniale z jej sprytną twarzą rozjaśnioną

błękitnym okiem, w którym lśniła głęboka myśl, co stanowiło jaskrawy kontrast z nieruchomym, bezmyślnym blaskiem wielkich czarnych oczu jej rywalek.

— Oto — powiedział starzec — idealny przykład przedstawicielek czterech narodowości, z których składa się ludność Bizancjum.

Złożyliśmy ukłon tym pięknościom, które odpowiedziały nam ukłonem na turecką modłę. Czerkieska wstała, klasnęła w dłonie; drzwi się otworzyły. Zobaczyłem z daleka następną salę, gdzie gracze w różnorodnych strojach siedzieli dokoła zielonego stolika.

— Mieści się tu po prostu „Frascati” Pery — powiedział mój towarzysz. — Możemy zagrać kilka partyjek, zanim podadzą kolację.

— Wolę zostać tu, gdzie jesteśmy — odrzekłem — nie pragnąc bynajmniej włączyć się w ów tłum, wśród którego widniały gdzieś greckie stroje.

Tymczasem do pokoju weszły dwie małe dziewczynki; jedna dźwigała na tacy kryształową salaterkę, druga karafkę z wodą i szklanki; niosły również ręcznik bramowany jedwabiem, przetykanym srebrem. Czerkieska, która zdawała się grać rolę *hanum*, czyli pani domu, podeszła do nas, wzięła pozłacaną łyżeczkę, zanurzyła ją w konfiturę z róż i przytknęła mi ją do warg z najuprzejmiejszym uśmiechem.

Wiedziałem, że w takich razach należy połknąć konfitury, popić je szklanką wody; po czym dziewczynka podała mi ręcznik do wytarcia ust. Wszystko to odbywało się zgodnie z etykietą przyjętą w najlepszych tureckich domach.

— Zdaje mi się — powiedziałem — że oglądam obraz z Tysiąca i Jednej Nocy, że marzy mi się sen „Śpiącego na jawie”. Nazwałbym chętnie te piękne damy: „Wieszczka Serc”, „Burza”, „Źrenica Dnia” i „Kwiat Jaśminu”...

Starzec już miał mi zdradzić ich imiona, gdy usłyszeliśmy nagle gwałtowne dobijanie się do drzwi, któremu towarzyszył szcęk kolb karabinów. W sali gry zapanował straszliwy tumult, niektórzy z obecnych zdawali się uciekać lub starać się ukryć.

— Czyżbyśmy byli u sułtana? — zapytałem, przypominając sobie opowiadanie starca — i czy nas wrzucą do morza?

Jego obojętna mina uspokoiła mnie trochę.

— Posłuchajmy — odrzekł.

Ktoś wchodził po schodach i zgiełk pomieszanych głosów dolatywał już z pierwszych pokoi, gdzie znajdowały się matrony. Oficer policji wszedł do salonu sam, bez eskorty; usłyszałem słowo *frenki*, przy czym wskazywano nas; oficer zażądał jeszcze, by go wprowadzono na salę gry, gdzie ci gracze, którzy nie uciekli, ze spokojem kończyli partię.

Był to po prostu patrol żandarmów, który chciał się przekonać, czy nie ma w tym domu Turków albo uczniów szkoły wojskowej. Jest rzeczą jasną, że ci, co uciekli, należeli do jednej z tych kategorii. Jednakże patrol zbyt wiele narobił hałasu wchodząc, by nie przypuszczać, że mu dobrze zapłacono za to, aby nic nie widział i nie doniósł władzom o żadnym wykroczeniu. Dzieje się tak zresztą w niejednym kraju.

Nadeszła pora kolacji. Gracze tak szczęśliwi, jak i nieszczęśliwi, pogodziwszy się po utarczce, otoczyli stół nakryty po europejsku. Kobiety wszakże nie wzięły udziału w tym polubownym zgromadzeniu i zajęły miejsca na estradzie. Orkiestra ulokowana w drugim końcu sali przygrywała w czasie kolacji, wedle wschodniego zwyczaju.

Ta mieszanina cywilizacji i tradycji bizantyjskich jest jednym z większych uroków owych ucieśnych nocy, wynikiem obecnych kontaktów Europy i Azji; Konstantynopol zaś, dzięki tolerancji Turków, stał się jednym z najświetniejszych jego ośrodków. Byliśmy istotnie świadkami zabawy

równie niewinnej jak wieczory w kawiarniach Marsylii. Młode dziewczęta, które przyczyniały się do uświetnienia podobnych zebrań, bywały angażowane w zamian za kilka piastrow, aby dać cudzoziemcom pojęcie o miejscowych pięknościach. Ale nic nie nasuwało myśli, że mogły być tu wezwane w innym celu niż zademonstrowanie swej urody oraz strojów narodowych. Rzeczywiście, wszyscy się rozstali o pierwszym brzasku poranka; oddaliśmy się pozostawiając osadę San Dimitri w cechującym ją spokoju i ciszy. Trudno sobie wyobrazić coś cnotliwszego na pozór niż ów idylliczny krajobraz widziany w jasności świtu, niż te drewniane domy, których drzwi uchylały się tu i ówdzie, na progu zaś ukazywały się wstające do dnia skrzętne gospodynie.

Pożegnaliśmy się. Mój towarzysz wrócił do domu w Perze, ja zaś nadal oszołomiony cudami widzianymi tej nocy, przechadzałem się dokoła klasztoru derwiszów, skąd można objąć okiem cały widok na wjazd do cieśniny. Wkrótce wstało słońce opromieniając odległe zarysy brzegu i przylądków; w tej samej chwili rozległ się wystrzał armatni w porcie Tofana. Z małego minaretu górującego nad *teke* rozległ się od razu głos łagodny i pełen melancholii, śpiewając: *Allah akbar! Allah dkbar! Allah akbar!*

Nie mogłem się oprzeć dziwnemu wzruszeniu. Tak, Bóg jest wielki, Bóg jest wielki!... A ci biedni derwisze, powtarzający niezmiennie owe wzniosłe słowa z wyżyn swego minaretu, zdawali się wyrzucać mnie osobiście źle spędzoną noc. Muezin powtarzał wciąż: Bóg jest wielki! Bóg jest wielki!

„Bóg jest wielki, a Mahomet jego prorokiem, złóżcie wasze grzechy u stóp Allaha!" Oto treść tej wiecznej skargi... Dla mnie Pan Bóg jest wszędzie, jakiegokolwiek dają mu imię; byłbym nieszczęśliwy, gdybym miał sobie w tej chwili do wyrzucenia istotny grzech; ale ja przecież się tylko weseliłem, tak jak wszyscy Europejczycy z Pery, w ciągu jednej z wielu świątecznych nocy, w których ludzie wszelkich wyznań łączą się z sobą w tym kosmopolitycznym mieście. Dlaczegoż więc miałbym się lękać boskiego oka? Ziemia przepojona rosą odpowiadała zapachem kwiatów morskiemu wietrzykowi, który musnął ją przelotnie i powiał ku mnie ponad ogrodami, z cyplu seraju na przeciwległym brzegu. Olśniewający blask słońca podkreślał w dali magiczną geografę Bosforu, rwącą oczy wyniosłością brzegów i różnorodnymi widokami ładu poprzecinanego wodą. Zachwycałem się tak godzinę, po czym poczułem zmęczenie, powróciłem więc już w pełnym blasku dnia do hotelu panien Pechefte, gdzie mieszkałem, a którego okna wychodzą na Mały Cmentarz.

Przygotowano na podstawie bookini.pl